



Tadeusz Siejak
**Tam, dołem
 płynie rzeka**
 (fragment
 niedokończonej
 powieści)

1 marca 1969 roku, sobota.
 Sala nr 8 Oddziału Urologii Męskiej

Zapach deszczu i ziemi. Nawet tutaj, w samym jądrze miasta, przedostaje się przez cały ten zgłęb na dole. Wiosna. I wyraźnie słyszę kosa. Nawet, pod zachodzące słońce, widzę jego szarą kulkę nas jednej z anten telewizyjnych za placem.

Prawdziwość przebija się przez linię prostą miasta. Zimy prawie nie widziałem. Podobno było kiepsko. To się nazywa krwotok wewnętrzny i zewnętrzny zarazem. Wszyscy skakali koło mnie, jakbym już umie-

rał, aż chwilami było to śmieszne. (Swoją drogą, śmierć przez wykrwawienie jest w miarę przyjemna. Okropnością jest pisać takie rzeczy, ale jeśli rzeczy tak właśnie się mają?)

Grażyna przesiedziała u mnie trzy pełne noce. Na zmianę z matką. Chyba się trochę poznały. Muszę to zbadać.

Ja zahaczyłem Grażynę na wiersz. Przyszedłem tu zaraz po Gwiazdce i czekałem na Grabowskiego, który akurat był na nartach w Zakopanem. Czułem się jak miasto przeznaczone do bombardowania. (Teraz jestem już po kolejnym bombardowaniu. Ruina absolutna.)

Pewnego dnia, ale jeszcze przed sylwestrem, stałem przy oknie i patrzyłem na ulicę. Ordynator bardzo tego nie lubi i prześladowuje wszystkich, którzy wyglądają przez okna, więc kiedy za plecami skrzyknęły drzwi, trochę się przestraszyłem. Chociaż, o czwartej po południu? W drzwiach stała pielęgniarka, której nie znałem. Była na urologii dopiero od września, prosto po szkole.

Trudno mi ją opisać, jest jednak dosyć ładna. Z całą pewnością nie brzydka albo choćby przeciętna. I strój pielęgniarski nosi nie jak kombinezon roboczy, ale jak strój właśnie. Z jakąś apaszką, chusteczką w kieszonce, mini dużo przed kolana.

Tak więc przy tym rozbebianym błocie z ulicy, przy tej szarości dnia, właściwie już nocy, wydała mi się jakaś – słoneczna. Mimo że jest całkowicie czarna, a cerę ma jak Cyganka.

– Co pan tak podskoczył?

– Myślałem, że to ordynator.

– A tu na widok ordynatora się podskakuje?

– A pani jeszcze tego nie wie?

(Pójdzie i doniesie, ten dopiero da mi w dupę.)

– Ja nie podskakuję ze strachu na niczyj widok. A dla mnie ordynator jest miły. Bardzo proszę. Temperatura. – Dała mi termometr i poszła.

Nie wiem, dlaczego c z e k a ł e m na nią. Być może, chodziło mi o tę jej słoneczność. Bardzo długo nie przychodziła. Położyłem się na łóżku przy zgaszonym świetle i przymknąłem oczy, żeby ją sobie łatwiej wyobrazić. Mogłem po prostu wyjść na korytarz, pomóc jej zbierać termometry albo robić wykresy w kartach, ale jakoś mi się wydało, że świat za drzwiami sali jest mi zakazany, a ona trafi tu z powrotem, jeżeli będzie chciała przyjść d o m n i e. Po kilkudniowej samotności szpitalnej w okolicy świąt i sylwestra takie rojenia łatwo wywołać.

I ułożył mi się krótki wiersz. Wyrecytowałem go jej, zanim zdążyła zapalić światło. (To ohydne, mdłe światło szpitalne, od którego każde pomieszczenie wydaje się być kostnicą.)

Słońce za tobą chodzi
 Więc czekam z niecierpliwością
 Przybądź mi duszę
 Rozgłośnić
 Niech się chociaż przez chwilę

Ścielą świetliste kobierce
 Bo przecież wyjdiesz i zgaśnie...
 Znowu się spotkam z ciemnością
 W której od dawna muszę
 Ukrywać samotne
 Serce...

Nie wiem, w jakiej postawie słuchała, bo było ciemno, a dodatkowo, mówiąc, zamknąłem oczy. Kiedy skończyłem, stała przy karcie, trzymając w lewej ręce słoik z termometrami, a w prawej długopis, z lekko przechyloną głową. Zapanował moment ciszy, po którym powiedziała:

- To piękne. Nie znam autora, chociaż czytam dużo wierszy.
- Nie może go pani znać. On jeszcze tego wiersza nawet nie napisał.
- Nie rozumiem. To skąd go pan zna? Na pamięć?

No i strzeliłem do niej z najcięższej armaty, jaką mam na dziewczyny, przyznaję. To nawet może w tamtej chwili nie była myśl, a tym bardziej zamiar wykalkulowany, ale raczej daleki odbłysek na samym dnie świadomości – że ta znajomość może zrobić moje więzienie trochę znośniejszym. (Instrumentalizacja osoby ludzkiej, jak by powiedziała nasza Fausta, wprawdzie nie do końca uświadomiona, ale zawsze...) Mniejsza o nazwę czy jakieś zakwalifikowanie naukowe, ważne, że chodzi o świadome i celowe działanie, czyli politykę, co pomiędzy kobietą a mężczyzną jest największą zbrodnią.

Tak się to zaczęło. A dzisiaj, po dwóch miesiącach, po tych strasznych nocach porooperacyjnych, po tym, jak trzeba mi było podnosić ręce z pościeli, żeby je umyć, bo byłem zbyt słaby, żeby je unieść samemu, po wszystkich czekaniach na jej dyżur, nie wyobrażam sobie minionego czasu – bez niej. Może to głupie, ale polityka zginęła już zaraz po pierwszym wystrzale. Grażyna poddała się natychmiast.

- Wytlumaczę to pani – powiedziałem. – Niech sobie pani wyobrazi, że autor tego wiersza, zresztą mój dobry znajomy, zajmuje właśnie w tej chwili pozycję horyzontalną... Wie pani, co to jest pozycja horyzontalna? No. Głową na poduszce. Na czwartym piętrze budynku państwowego, przy ulicy Walki Młodych. Za oknem zima, ludzie szykują się do jutrzejszego sylwestra, a on tak leży, sam, jak miasto przeznaczone do kolejnego bombardowania.

Milczała długo. Ma ten styl rozmowy. Nie wiadomo, skąd jej się to wzięło, bo przecież jest wychowana w zwyczajnej wiejskiej rodzinie, a nie na dworze królewskim. Potem spytała, jakimś zmienionym głosem:

- Którego? Bombardowania?
- Sam już nie wiem... Ale chyba czwartego...
- Miasto przeznaczone do bombardowania... Aaa... Niech pan powie... To miasto... Już trzy razy zdążyło się odbudować?

I to był jej wystrzał. Miała większą armatę niż moja. Aż mnie wcisnęło w materac. A chowała się w zwykłym gospodarstwie.

- Odbudować? To miasto już trzy razy było budowane od nowa. I będzie odbudowane nawet siedemdziesiąt siedem razy, jeżeli trzeba!

Pochyliła głowę nad kartą. Nie zapalając światła. – Wychodzę – rzekła cicho. – Życzę panu pomyślnej odbudowy. I żeby to nie było duże. Bombardowanie.

Więc odbudowuję.

Najpierw jednak pobiegłem do dyżurki zaraz po kolacji, chociaż niby nie powinienem chodzić, i zaniósłem jej wiersz. „Pani Grażynie, słonecznej dziewczynie” – napisałem dedykację. I podpisałem: „Mieszkaniec mroku”. Pretensjonalne, ale bardzo skuteczne.

- Autor był właśnie u mnie i napisał ten wiersz. Chce pani?
- Mogłabym chcieć. Gdyby...
- Gdyby co?
- Gdyby ten autor podpisał się imieniem i nazwiskiem.
- Nie ma sprawy. Poproszę jakiś długopis.
- Stanisław Socha. Woli pani czytelnie czy z charakterem pisma.
- Z charakterem pisma. – I potem powiedziała: – Pisanie wierszy musi być fascynujące.

Użyła tego słowa i w jej ustach nie zabrzmiało ono sztucznie, chociaż jest zwykłą dziewczyną ze wsi. Fascynujące...

Muszę to też napisać. Dzięki niej te dwa miesiące w szpitalu były, w gruncie rzeczy, przyjemne. Pełne oczekiwania, rozmów, drobnych niespodzianek (ona mi – książkę, ja jej – wiersz albo kwiatek). Myślę, że wszyscy to zauważyli, ale nie obchodziło mnie to.

Bombardowanie, jakie przychodzi mi tu przeżywać, ma jednak swoją dobrą stronę. Kiedy już przestaje bardzo boleć, chociaż przecież jeszcze boli, jeszcze nie mogę się wyprostować, a dojdzie z ósemki do ubikacji za jednym zamachem równowagi jazdę sprintem do Osowej Góry i z powrotem, to świat wydaje się wspaniały. Wszystko. Ludzie, jedzenie, dziewczyny, pąki na drzewach, gruchanie synogarlic na szpitalnym podwórzu, śpiew kosa, szmer deszczu za oknem i ten zapach ziemi, jaki płynie do mnie z dołu. Chce się żyć! Jest „pod górkę”. Jakby się wychodziło z doliny, ze strefy cienia, do światła słonecznego. Przypomina to trochę rzeczywiście miasto po bombardowaniu. Stare mury padły, zrobiło się więcej światła i przestrzeni, i można, na wolnym miejscu, budować coś nowszego i lepszego niż poprzednio. Winogrady zamiast ulicy Koziej i Gołębiej. Park Kasprzaka zamiast studziennych podmurówek. Tak więc wszystko ma swoje zalety. Nawet zło, jakie mi się dzieje (działo).

Takie spojrzenie jest możliwe najbardziej, kiedy odżywa się po głębokim kryzysie. A ja po takim jestem. Czyli – kulawy, podziurawiony, zdrenowany (zaraz mi się przypomina taki przedmiot z technikum: Zarys Budowli Melioracyjnych i Wodnych), zgięty w pół, ważący dokładnie dziesięć kilogramów mniej niż w styczniu, cięższe się wszystkim. Nawet piórem, którym mogę wodzić po papierze i zapisywać niniejsze wywody. Krzyż mi cierpnie, pod tyłek musiałem podłożyć sobie koc, bo siedzenie na samych kościach to tortura, ale – cieszę się nawet pisaniem! Do tego – przecież wiosna! Ta niesłychana

pora wybuchu życia! Wyobrażam sobie szelest starej trzciny, chlupot fali i głos kaczki na jeziorze Białym koło Skorzęcina. Albo choćby pierwsze podbiały i kępy młodej trawy na Wale. Potem kwitnienie kolejnych drzew. Dzięki śliwy, morele, brzoskwinie, czereśnie, wiśnie, na końcu jabłonie i grusze. Tulipany w ogródkach. Bardzo lubię patrzeć na czerwone tulipany. Kiedy jeszcze mało jest kolorów, to ta czerwień aż razi w oczy, jest jaskrawa jak suknia Cyganki albo gorąca jak płomień na śniegu. Najbardziej, rzecz oczywista, przypomina krew, jasną i dobrze natlenioną krew z tętnicy, zawieszoną w powietrzu pełnym słońca, ale to nie jest dobre porównanie dla mnie, dziś.

Tak się to zbiegło. Odbudowa z ruin, chłopcze, i wiosna, też odbudowa. Inaczej czybyś to wytrzymał spokojniutko, kurna, z uśmiechem na ustach, kurna, byś musiał się wycofać na palcach, żeby tylko nie spostrzegli, że ich słyszałeś.

Ale za-Araz, zaAraz, Stachu. Po kolei. Smuga poszedł do domu. Leżał z tobą ktoś taki, w czasie, kiedy nie miało to prawie znaczenia. Po nim nastał Dziadek. No, ten też pomógł. Osiemdziesiątka, na pewno wiedział, że ma raka pęcherza, lał na czerwono, kurde, to znaczy, leje na czerwono, a ciągle wesoly, z tysiącem dowcipów, kurde, ta pamięć, w jego wieku!, no, położył się na dobre mniej więcej w tym samym czasie, w którym zacząłem chodzić. Stachu, dosz rade mi dzisiaj wyniść, kurde? Coś mi się nie chce wstawać!

Kaczki ostatnio są szklane. Na urologii ma to znaczenie, kurde, jak szlify oficerskie, ten kolor, ta przezroczystość albo mętność, znak rozpoznawczy. No, jest dziesiąta wieczór, dyżury się zmieniły, wyleję mu z tej kaczki i pójde do Grażyny, do dyżurki, chociaż na chwilę. Akurat zdąży przejrzeć raport i obejść sale. Zawsze to robi. W tej ich szkole w Kaliszu dawali im w kość, ale styl znać. Żadnego opierdalanania się, swoje trzeba zrobić. Klasztor to tam musi być, aż nie do wiary, ale piguły robią dobre.

Cicho. Nikt nie jęczy. Nikt nie stęka. Aż dziwnie iść przez taki uciszony oddział. Tylko z dyżurki dobiega szmer słów. Szmer, ktoś rozmawia, po tonie szmeru można poznać, że nie jest to rozmowa przez telefon. Inne naprężenia słów. Przez telefon słowa są bardziej naprężone, głośniejsze i dokładniejsze. Pytanie, oznajmienie, pytanie, oznajmienie. Tonacja nacisku albo meldunku. Właśnie, czy ja zdążyłem to wszystko pomyśleć, jeżeli z ósemki do dyżurki jest sześć i pół kroku? Nie wiem, no, może stałem pod drzwiami, uderzony ciszą oddziału, a może już właśnie tam odróżniałem słowa?

Najpierw ona: – To co, doktor? Pójdiesz spać?

Ona do niego na ty?! Nie, nie, to taki tutejszy obyczaj, doktor, zrób, doktor, idź, nie, nie, to nie to samo co zwykłe „ty”.

On: – Jeszcze przejrzę papiery tych trzech nowych. O dwunastej żebyś nie zapomiała o morfinie dla tego z szóstki. Niech się chłop nie męczy.

Chwila ciszy. Woda z kranu leci.

– Poczytam raport i pójde na oddział.

– Jest coś nowego, doktor? Herbatę zrobić?

– Aaa, zrób, jak już robisz... – Chyba znad jakichś papierów, tak to sobie odtwarzam, od niechcienia, i nagle, to już zupełnie wyraźnie: – Grażyna, a na ósemkę też zajrzysz? Co?

W tym CO? jest jakiś uśmiech, kurde, co on się wpierdala?!

– Zajrzę, jak wszędzie, może Dziadkowi czegoś potrzeba?

– Dziadkowi, Grażyna?... Oj, dziewczyno, co ty se chcesz uszykować?!...

CO TY SE CHCESZ USZYKOWAĆ?!

– Nie wiem, o co ci chodzi, doktor!

– Nie wiesz... Niech będzie, że nie wiesz... Coś ci przeczytam. – Po łacinie CZYTA: *Status post pyreelitotomian. Bilateralis. Insulficientia rerum bilateralis. Chronicus.* CZYTA. Wiesz, co to znaczy?

– Nie, no skąd, doktor? Nie uczyłam się łaciny.

MÓWI. TLUMACZY JEJ. Raz go słyszę dużymi literami, raz małymi. – BILATERALIS. – (Stosunki, kurwa, dwustronne. Idiotyczne określenie z polityki. Jakby mogły być jednostronne.) – OBIE. PRZECIEŻ WIESZ, ŻE MA OBIE NERKI ZAJĘTE. Dziewczyno... Przewlekły stan zapalny... I już... Niewydolność małego stopnia.

– PO CO MI TO MÓWISZ, DOKTÓR?

– PO CO?! Żebyś się opamiętała. – OPAMIĘTAŁA. NO, ILE TO MOŻE BYĆ LAT?

Cisza.

– No! Jak myślisz?

– Nie wiem... A pan... wie?

– NIE ZA DOKŁADNIE. ZA TO WIEM, JAK TO BĘDZIE SZŁO. Trochę – NIC. Chyba że złapie jakieś zakażenie. A ten wariat wszystko robi, żeby złapać. Pływa, podnosi ciężary. PODNOSI CIĘŻARY. Cement na budowie nosi. Gnój na wsi ładuje. Takie rzeczy.

– Nic. A potem?

– Potem? Nacisnięcie! Po trochu. Mocznik. Kreatynina. Hemoglobina w dół. Nogi jak banie. Pamiętasz tego żółtego, co umarł przed Gwiazdką? TEGO ŻÓŁTEGO? CO SIĘ TAK DUSIŁ PRZEZ TRZY DNI?

Cisza.

– NO. TO TAK WŁAŚNIE IDZIE... NAJPIERW POMAŁU.

Cisza. Mnie tu, kurwa, nie ma. Nie miękną mi kolana, kurna, złość, czerwona, straszliwa złość, no, Socha, a ciekawość? Czy jest ktoś, kto... No? Czy ktoś taki jest? Kto nie wierzy Grabowskiemu?

Ta – cisza. Długa.

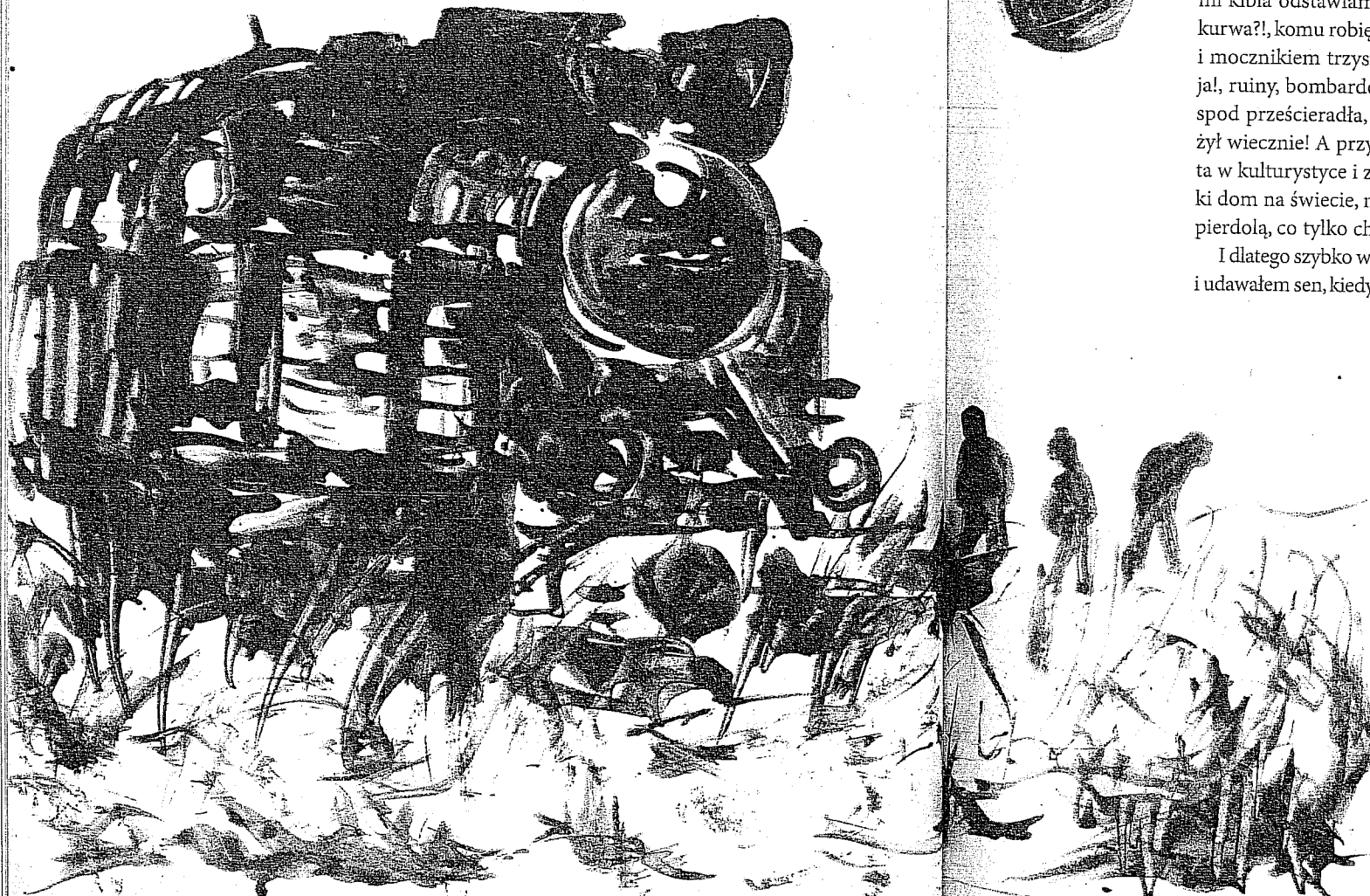
– Wie pan... czytałam niedawno w „Itede” ... Taki artykuł... Jeden chłopak, student... Żyje całkiem bez nerek...

– CAŁKIEM BEZ NEREK. OWA! OWA! OWA! Filmy, powieści, no!, ale w życiu?! Na Urologii Męskiej?! OWA!! – Grabowski odkaslnął. Dokładnie to widzę, kaszle, przeciera usta chusteczką, kurwa jasna, i cicho pyta, pewnie schowany za tę chusteczkę: – Żyje. ALE JAK? SZTUCZNA NERKA, TO MYŚLISZ, ŻE CO? Jak, jak...! JAKOŚ...!

– Doktor, nie męcz mnie już... Ja proszę...

– Nie męczę. Przestrzegam.

– Ale medycyna, doktor, nauka, postęp?! TO NIC NIE ZNACZY?!
 Teraz jego cisza. ONA. Już za późno, Stachu. NA czas było tylko z Ewelina. Ale – ona!
 ONA ZA PÓŹNO. PRZYROSŁA.
 – Medycyna... Nauka... sztuczna nerka... Ty myślisz, że co? ŻE ZA ROK CZY
 DWA TO JUŻ BĘDZIE TAKI POSTĘP?
 – Rok, dokór?... Dwa? ...
 – No nie, no, Grażyna, ty mi tu nie płacz... Tak to się tylko mówi... To może być
 nawet i pięć lat...



MOŻE I PIĘĆ LAT BYĆ MOŻE PIĘĆ MOŻE BYĆ PIĘĆ CO? NIE WYŁOES MI
 Z TY KACZKI?

Dziadek patrzy na mnie z półmroku rozbitego światła korytarza.

– Kaczki?

– No, Stachu, ty kaczki, co jom czymosz?

– O-oo, ja pier... Ale skleroza!... Już lecę!

Teraz specjalnie trzaskam drzwiami sali, szuram laczkami, idę głośno, ucinając ten szmer z dyżurki, no, nie patrzę w tamtą stronę, idę, ONA, nie, no, nie widzą, nie mogą widzieć, jak przed drzwiami kibla odstawiam pusta kaczkę i robię ta-aAlkiego wała!, komu, kurwa?!, komu robię wała? Stachu?! No, jej, tej żółtej, z naciśnięciem i mocznikiem trzysta pięćdziesiąt, tej kurwie sinobladej, a-chchujaj!, ruiny, bombardowanie, starczy, teraz JA, i ona, ta towarzyszka spod prześcieradła, za chuja mnie nie dostanie. Grażyna! JA będę żył wiecznie! A przynajmniej do czasu, aż zostanę mistrzem świata w kulturystyce i zbuduję najpiękniejszy, kurde, najbardziej ludzki dom na świecie, no, Grażyna, już jest za późno, niech wszyscy ci pierdola, co tylko chcą, ja będę żył! Z TOBĄ!

I dlatego szybko wróciłem na salę, położyłem się gładko pod kocem i udawałem sen, kiedy Grażyna cicho otworzyła drzwi, stając w ukośnej smudze światła z korytarza. Wiedziałem ją dokładnie spod przymkniętych powiek, jak stoi i patrzy, nie patrząc. Długo. I ja to wytrzymałem. A później musiałem naprawdę najnormalniej zasnąć, bo rano na stłiku leżała kartka.

Myślałam, że przyjdiesz w nocy do dyżurki. Nawet poszłam po Ciebie, ale spałeś tak słodko, że nie miałam sumienia Cię budzić.

Grażyna

Najnormalniej, kurde, zasnąć. Nawet nie wstałem o szóstej, żeby odprowadzić ją do windy. A ona nie obudziła mnie o piątej, żeby zmierzyć temperaturę. Chociaż wykres był uzupełniony.

Do druku podała z rękopisu
 Maria Jentys